

Silniej niż kultura - o przyrodniczych perspektywach "genius loci"

Refleksje bioregionalne

Poniższym tekstem inaugurujemy w DŻ stały dział poświęcony bioregionalizmowi. Temu tematowi chcemy poświęcać w naszym piśmie więcej miejsca niż dotychczas. Publikować będziemy głosy twórców i współpracowników pisma, zaproszonych osób, a także teksty należące do "klasyki" bioregionalnego pojmowania świata. Będą to różne opinie i stanowiska - zależy nam na dyskusji, nie zaś na serwowaniu tych czy innych "prawd wiary". Interesuje nas jak pojmowany jest bioregionalizm, jak go oceniamy, co wydaje się nam w nim szczególnie cenne, co zaś - nieadekwatne do rzeczywistości. Chętnie zamieścimy w DŻ także opinie Czytelników, którzy zechcą się z nami podzielić swoimi odczuciami dotyczącymi określonego miejsca na Ziemi, czy samej idei dowartościowującej postrzeganie świata przez pryzmat konkretnego obszaru.

Silniej niż kultura - o przyrodniczych perspektywach *genius loci*

"Znam tylko tę ojczyznę, którą tajemnie i wbrew zakazowi noszę w sobie"

Ernst Wiechert

Kiedy myślę "bioregion", gdy wypowiadam to obce, bo stworzone o tysiące kilometrów stąd słowo, nachodzi mnie myśl o sztuczności wszystkich takich teoretycznych konstruktów, nieadekwatności kolejnych "-izmów" do bogactwa i złożoności ludzkich odczuć i postaw.

Zarazem jednak właśnie bioregionalizm wydaje się stanowić najlepszą odpowiedź na nasze lęki, potrzeby i predyspozycje, wśród których jedno z ważniejszych, choć często nie uświadomianych miejsc zajmuje pragnienie identyfikacji, tożsamości, przynależności do określonej przestrzeni materialnej i duchowej. W eseju "*Miejsca utracone*" Czesław Miłosz pisał:

Zakorzenie jest zapewne stałą potrzebą natury ludzkiej. Może łączy się to jakoś z prawami ludzkiego organizmu, a ściślej, z prawem rytmu. To, co znane i swojskie, pozwala utrzymać ten sam rytm wewnętrzny, o którym mało wiemy, co nie znaczy, że nie istnieje. Zmiana środowiska powoduje zakłócenie rytmu i duży wydatek energii na przejście do rytmu nowego. Nie ulega wątpliwości, że przywiązanie ludzi do miejsc jest wysoce tajemnicze i pozwala na różne interpretacje. Pewnie mieliby tu coś do dodania naukowcy zajmujący się obyczajami zwierząt i ptaków, zwłaszcza ściśłą terytorialnością każdego przedstawiciela gatunku i obroną własnego terytorium.

Nie sposób nie zauważyć, że o zaspokojenie tych nieeliminowalnych potrzeb jest coraz trudniej. Albo zaczyna brakować w ogóle punktów odniesienia, albo też wydają się one nad wyraz nietrwałe, pozbawione mocy silnego oddziaływania, kruche. Gdy kiedyś poproszono mnie o spisanie refleksji związanych z miastem, w którym wówczas mieszkałem, mogłem przyjąć tę propozycję dopiero po

uzgodnieniu, iż napiszę o mieście moim, o subiektywnym związku z miejscowością. O miejscu jako takim, identyfikacji z wyrazistym etosem pisać nie mogłem czynniki - te były słabe, ja zaś w tak niewielkim stopniu z nimi związany, że pisać nie byłoby o czym. Z czym miałem się utożsamiać? Z miastem o niespełna stuletniej, przemysłowej, bezkulturowej historii, zamieszkałym przez przybyszów z różnych stron? Z tradycjami rodzinnymi, których nie było, bo i tu każdy pochodził z innej bajki?

Myszę, iż nie ja jeden mam podobne odczucia - osób bytujących w miejscach bez silnej i wyraźnej tożsamości, będących zlepkiem opowieści tysięcy ludzi przybyłych skąd popadnie, jest wiele. Dodajmy do tego permanentne zmiany miejsca zamieszkania, kryzys niewielkich wspólnot, technologiczne wynalazki umożliwiające partycypację w nielokalnych kręgach (więcej czasu spędzam na e-mailowej korespondencji z przyjaciółmi oddalonymi o kilkaset kilometrów niż na rozmowach z sąsiadami, bo z tymi ostatnimi nie mam wspólnego losu każdy z nas ma zupełnie odmienną swoją opowieść), by otrzymać obraz przyczyn wykorzenienia. Wojciech Wencel w szkicu *Na pamięć* podsumował to zjawisko następująco: *Żyjemy w świecie bez pamięci: wśród ludzi, którzy nie chcą odnosić się do przeszłości /.../, i w zasięgu mediów przekazujących milion informacji, po których nazajutrz nie zostaje żaden ślad. /.../ Coraz częściej, jak mieszkańcy Macondo ze słynnej powieści Gabriela Garcii Marqueza, zapominamy, do czego służą najprostsze przedmioty.*

Czasem usiłujemy wrócić do przeszłości, do świata silnych, wyrazistych tożsamości. Pieczemy sami chleb z razowej mąki przywiezionej dostawczym mercedesem z odległego eko-gospodarstwa; ubieramy dziergany ręcznie kubrak paradując w nim po asfaltowej drodze prowadzącej do naszego "prowincjonalnego" obejścia; słuchamy ludowych nagrań z oferty wytwórni zatrudniającej sales managera, dbającego byśmy niezwłocznie je zakupili. Trudno takie postawy wyśmiewać donkiszoteria, choć bezproduktywna, na ogół bywa szlachetna; trudno jednak wiązać z nimi jakieś poważne nadzieje, skoro nic z tego, poza autoterapią i/lub zaspokojeniem eskapistycznych ciągot nie wyniknie, gdy wiemy, jaki jest układ sił i w którą stronę zmiernają globalne procesy. Jest jeszcze kwestia szczerości. Mógłbym nauczyć się lokalnych przysłów, przekopać przez setki dokumentów i fotografii, przyswoić inne atrybuty okolicy, ale nawet gdyby ktoś się nabrał na tę maskaradę czułbym się z tym nie na miejscu. Wychowałem się w innych realiach i nie potrafię nie mojej kultury przyjąć za swoją, zawsze będąc wobec niej krytycznym zewnętrznym obserwatorem.

Czy nam się to podoba, czy też nie, zakorzenie się w jakiejś trwałej wspólnocie o silnej, wyrazistej kulturze, jest coraz trudniej. Nie sposób już niemal w natłoku wrażeń pochodzących z różnych epok, kultur i etosów być "tym, który zamieszkuje", jak pisał Antoine de Saint-Exupéry w swej przepięknej *Twierdzy*. Niewielu z nas jeszcze może, chce i potrafi gdziekolwiek "zamieszkiwać". Większość po prostu pomieszkuje tu i ówdzie, dzisiaj tu, jutro tam; nawet jeśli zakotwiczymy gdzieś na dłużej, to miejsce owo podlegać będzie nieustannym i szybkim przemianom, rozbijającym w proch i pył to, co zastaliśmy w nim na początku pobytu. Jeszcze ten i ów przy odrobinie szczęścia "wróci do natury" i "wyjedzie na wieś", ale przecież zarówno natury, jak i wsi w prawdziwym tych słów znaczeniu jest coraz mniej.

Cóż jednak począć ze wspomnianą potrzebą zakorzenienia? Nie sądzę, by zagwarantować ją mogła dziś i jutro identyfikacja z etosem kulturowym, gdyż ten staje się coraz bardziej jednolity (ludzie identyfikują się nie tylko w oparciu o podobieństwa wobec "swoich", ale i różnice względem "obcych"), a także ulegający szybkim przemianom, niszczącym to, co znane, oswojone i przyjęte za własne. Odrębności ufundowane na gruncie wiekowych kultur długo jeszcze będą istnieć, jednak przynależność do odmiennych porządków dokonywać się będzie coraz częściej wbrew tradycyjnej tożsamości związanej z wyodrębnioną ze względu na wspólne terytorium zbiorowością.

To, czemu nie sprostą prawdopodobnie istniejący porządek kulturowy, może nam jednak pomóc uzyskać przyroda. Przyroda jest bowiem nieporównanie trwalsza. Choć brzmi to paradoksalnie w

epoce znikających gatunków i nieodwracalnych przeobrażeń w ekosystemach, to jednak faktem jest, iż tradycje kulturowe okazały się znacznie bardziej kruche niż przyroda. Nie powinno to dziwić, gdy uświadomimy sobie, iż to nie natura wzorowała się na kulturze, lecz odwrotnie. Ralph Waldo Emerson w *Szkicach* pisał, nieco popuszczając wodzy fantazji, lecz intuicyjnie trafiając w sedno, iż:

Kościół gotycki wyraźnie bierze swój początek z surowego zastosowania drzew leśnych z ich wielkim bogactwem gałęzi do uroczystego i dostojnego łuku-arkady, bo opaski wokoło rozszczepionych filarów wciąż jeszcze wskazują, iż były to zielone wici, którymi związano słupy. Nikt nie może, idąc drogą wyciętą poprzez las, nie zauważyć architektonicznego wyglądu lasu, zwłaszcza w zimie, gdy nagość wszystkich innych drzew odsłania niski sklepiony łuk w saksońskim stylu. W lesie też, w zimowy podwieczerek, można spostrzec również początek witraża, zdobiącego gotyckie katedry, w barwach zachodniego nieba, oglądanego przez nagie, krzyżujące się gałęzie boru. A każdy miłośnik natury, wszedłszy do starych gmachów Oksfordu i do katedr angielskich, poczuje, że bór ciążył nad duszą budowniczego, że jego dłuto, piła i hebel wciąż odtwarzały leśne paprocie, strzeliste kłosa kwiatów, drzewo świętojańskie, wiąz, dąb, sosnę, świerk i jodłę".

Bioregionalizm, ze swym zaakcentowaniem znaczenia przyrodniczego pierwiastka każdej okolicy, nabiera więc w obliczu kryzysu tożsamości kulturowej, nowego wydzwiku. W świecie bez jednorodnych i trwałych wzorców będących dziełem człowieka, to właśnie przyroda, przekształcana, lecz wciąż trwająca, stanowić może fundament identyfikacji z daną okolicą i zamieszkującymi ją zbiorowościami. Konkretna przestrzeń, naznaczona naturalnymi punktami odniesienia, zakorzeni się w ludzkim sercu i emocjach.

Człowiek nie posiada takiej mocy, by przekształcić wszystkie ekosystemy według jednego wzorca. Wycinka lasów, budowa autostrad, regulacja rzek okaleczają samą naturę i tworzony przez nią pejzaż, jednak góry zawsze pozostaną górami, niziny nizinami, a nadmorskie plażowe przestrzenie takimi właśnie formami krajobrazu. Człowiecze odczucia wobec tych zróżnicowanych widoków będą odmienne, ludzie nie staną się całkiem podobni sobie, a ten właśnie konkretny stan przyrody będzie trwał w ich podświadomości, stanowiąc symbol ojczyzny, swego miejsca w świecie. Ziemia, choćby napór eksploatatorów był wciąż większy, na zawsze pozostanie wg określenia Wilhelma Szewczyka ziemią łagodnych kontrastów, nieredukowalną do jednego, powszechnego wzorca.

Bioregionalizm dzisiaj wydaje się tworem sztucznym, gdyż odwołuje się do rzadko już kiedy uświadamianych i pojmowanych jako własne całości wyodrębnionych w oparciu o przyrodniczą specyfikę. Ludzie swoje miejsce w przestrzeni postrzegają jeszcze przez pryzmat tradycyjnej identyfikacji kulturowej. Bioregionalizm jest jednak trendem przyszłościowym, znakomicie wpisującym się w realia kryzysu kulturowego, destrukcji istniejących etosów i etnosów. W miejsce dotychczasowych wzorców kulturowych przyjdą kolejne, przy odrobinie szczęścia i zaangażowania z naszej strony oparte o silnie zaakcentowany wątek ekologiczny w znaczeniu szerszym niż dążenie do ochrony środowiska, jako nowa kultura ludzi, którzy nie walczą z przyrodą, lecz potrafią z nią współistnieć.

Bioregionalizm to między innymi wiersze Gary Snydera, który tożsamość Ameryki-Żółwiej Wyspy tworzy w oparciu o mitologiczne obrazy paleolitycznych myśliwych, scenki z życia obozowego Indian Wielkich Równin czy niedole pierwszych rednecków, choć przecież o pierwszych niemal nikt już nie pamięta, a drudzy i trzeci coraz bardziej przypominają eksponaty ze skansenu. Bioregionalizm jest bowiem twórczy i nowoczesny, daje pole do popisu nie tylko tym, którzy wynoszą pod niebiosa tradycję (zawsze pisaną przez duże T), ale zwłaszcza tym, którzy chcą i potrafią tworzyć tradycje

własne, w poprzek istniejących, na przekór tym, którzy ponoć wiedzą lepiej.

Bioregionalizm jest postmodernistyczny w dobrym znaczeniu tego słowa. Jak taran rozbijający zastygłe skorupy, oczyszcza przestrzeń dla umysłów śmiałych, ceniących to, co sprawdzone, lecz nie bojących się nowego. Bioregionalizm jest także kulturą nowego pogranicza, bo przyroda trwa wbrew granicom stworzonym przez ludzi. Jest duchem współpracy. Jest tożsamością zreinterpretowaną. Jest mitem w świecie, który utracił wymiar mityczny, został "odczarowany", schamiał i strywializował się, a wszystkie świętości zamienił na komercyjne ersatze. Bioregionalizm być może zaczaruje nasz świat na powrót, tchnie ducha w betonowo-stalowe przestrzenie pozbawione sacrum. Być może obudzi baśniowe moce, w których odwieczna przyroda zespoli się z na nowo pojmowanymi wątkami kulturowymi, dając im siłę i żywotność.

Zadaniem tych, których wstrętem napawa myśl o ludziach identycznych i świecie jednakowym, a przy tym wrażliwych na piękno i istotę przyrody, będzie rozbudzenie miłości do ojczystych choćby była to ojczyzna wtórna stron w oparciu o zaakcentowanie ich przyrodniczej niepowtarzalności. Jak to zrobić, to temat na zupełnie inną opowieść rozpisaną na wiele głosów, jednak łatwo zauważyć, iż zwieńczone powodzeniem działanie tego typu stanowić może ważny element w procesie obrony przyrodniczego dziedzictwa poszczególnych okolic. Jeśli dany pejzaż, określone przestrzenie flory i zasiedlająca ją fauna staną się punktem odniesienia dla zamieszkujących tutaj zbiorowości ludzkich, wtedy zyskamy dla każdej z takich okolic obrońców znacznie bardziej zaangażowanych w to dzieło, niż przysporzyć by mogły jakiegokolwiek formy nie odwołujących się do konkretnego miejsca programów "edukacji ekologicznej" i powtarzanych po tysiącokroć zaklęć o "ratowaniu planety" i "zrównoważonym rozwoju".

Remigiusz Ochraska